

Pacyński Tomasz

Łysa polana

Z „*Science Fiction*”

Chatka wyglądała na mocno zmurszałą. Nawet tu, na zagubionej w gąszczu polanie, robiła przykre wrażenie upadku i opuszczenia. Belki, niegdyś solidne, teraz stoczone przez czerwie i korniki, zachowały charakterystyczny piernikowy kolor. Ale zwłaszcza te niższe zapadały się już, przez co cały malutki domek pochylił się, jak kopnięty przypadkiem przez przechodzącego olbrzyma. W tym lesie nie było jednak olbrzymów, po prawdzie to i krasnoludków też nie było. Ot, zwykły zagajnik, resztówka niegdyś świetnej puszczy, teraz składająca się głównie z kwartałów sadzonych pod sznurek sosenek.

Dlatego też chatka nie pasowała do otoczenia. Niepodobna do rozsianych w okolicy drewnianych, jeszcze przedwojennych gajówek, wykupionych zresztą w większości przez miastowych. Zamiast eternitu dach kryły drobne omszałe gonty, filigranowe okiennice wycięte w fikuśne wzorki osłaniały malutkie okienka. W tych zdobieniach było coś osobliwego, wydawały się wręcz obce. Choć zarazem dziwnie piękne.

Obejście też nie robiło najlepszego wrażenia. Zwykła polana, otoczona opłotkami, które szczyrzyły się sztachetami jak wieśniacza szczeka, tyle ich brakowało. Za to trawa była dość starannie przyszyżona. Dbała o to koza, uwiązana na postronku.

Gdyby ktoś przechodził przypadkiem obok chatki i naturalnie też przypadkiem stanąłby od zawietrznej, dość szybko pozbyłby się złudzeń co do płci zwierzaka o kosym, złośliwym spojrzeniu. Był to niewątpliwie kozioł, mówiąc wprost: cap. Można było łatwo poznać po tym, jak capiał.

Ale nikt tędy nie przechodził. Miejscowi starannie omijali zagubioną w lesie polanę, jakoś się tak w okolicy utarło, że nawet nie wspomniano o niej w rozmowach. Pomimo iż nieopodal kryły się znakomite grzybne miejsca, obfitujące w prawdziwki od wczesnego lata aż do późnej jesieni, kiedy na okolicznych pagórkach pojawiały się masowo gąski, zwane w tej okolicy prośniankami. Czasem tylko zapalał się w pobliżu ktoś z letników, którzy przyjeżdżali do ośrodków wczasowych, tych, które jeszcze nie zdążyły zbankrutować. Ale dziwnie szybko nawet rozwrzeszczane dzieci milkły i uciekały dalej. Coś takiego było w tym lesie, że budziło strach.

Chatka niewątpliwie była zamieszкана. Świadczyła o tym unosząca się z komina wąska strużka dymu. A i kozioł nie poradziłby sobie sam w lesie. Choć budził respekt, tak był ponury i śmierzący.

Gdyby ktoś przechodził obok chatki i niezrażony smrodem doczekałby chwili, kiedy skrzypnęły krzywe niskie drzwi, byłby zdziwiony. Mały domek działał na wyobraźnię. Trudno się było spodziewać, że wyjdzie z niego starsza, prosto się trzymająca kobieta o siwych, ułożonych w schludny kok włosach. Co prawda ona też działała na wyobraźnię i to raczej niemile. Okulary w rogowej oprawie ze szklami o grubości denka od butelki, zamaszysty krok starego żandarma, chude łydki obleczone w bure rajstopy i wielkie stopy wypełniające niemodne, acz starannie wyczyszczone pantofle. Przypominała emerytowaną nauczycielkę, z tych bardziej wrednych. Takich, co to potrafią się przyśnić i pół wieku po maturze.

Starsza pani przemaszerowała energicznie przez obejście. Kozioł zameczał, szarpnął się na postronku. To było dziwne, capi odór każdemu normalnemu człowiekowi wykręciłby nozdrza na nice. Tymczasem ona pieszczotliwie pogłaskała zwierzaka po brudnym karku. Chwilę przemawiała doń cicho, po czym ruszyła w stronę przecinki wiodącej do najbliższej drogi. Cap spoglądał za nią tęsknie, mrużąc kaprawe ślepia. Dopiero kiedy zniknęła za drzewami, powrócił do leniwego szczypania trawy. Bo i cóż miał innego na razie robić.

* * *

Harley stał nie całkiem zgodnie z przepisami. Wprawdzie na poboczu, ale na samym łuku zakrętu, w dodatku o widoczności ograniczonej przez wysoką, porośniętą drzewami skarpe. Dlatego też Dziadek Mróz co i rusz oglądał się niespokojnie, nawet gdy klnąc wdrapywał się po porośniętej krzakami stromiznie. Przekleństwa były usprawiedliwione, zarośla kłuły boleśnie w wytatuowane ramiona. Czarny

skórzany kubrak bez rękawów prezentował się wprawdzie pięknie, zwłaszcza wielka trupia czaszka na plecach, ale stanowił niezbyt skuteczną ochronę w kolczastych chaszczach, które jak na złość składały się prawie w całości z tarniny.

Matylda miewała czasem dziwne pomysły, Dziadek wiedział o tym dobrze. Dlatego przeżuwał przekleństwa i piał się dalej. Jedyne, co dobre w tym wszystkim, to widok zgrabnego tyłeczka w opiętych skórzanych spodniach. Dziewczyna wspinała się tuż przed nim, sprawiając wrażenie, jakby potrafiła się prześlizgiwać pomiędzy cierniami. Ten kuszący obraz stanowił drobną rekompensatę za ponoszone niewygody.

Wreszcie stanęli na niewielkim pagórku, ocnionym koronami wysokich jesionów. Matylda rozejrzała się, odetchnęła głęboko. Uśmiechała się jak mała dziewczynka.

Dziadek sapał głośno. *To nie na moje lata*, pomyślał ze złością. Wytrząsanie tyłka na harleyu, choć przecież w podziemnym garażu stoi nowiutki merc. Można powiedzieć, że prezent od złotej rybki. *Ale dziewczyna miała nieco racji*, przyznał z żalem. Tam, dokąd jechali, przydałby się raczej jeep cherokee, albo hummer. Ewentualnie właśnie harley, którym można się było prześlizgnąć wąskimi leśnymi traktami, nie zakopując się w piasku po osie. To też psuło Dziadkowi humor. Nie lubił takiej roboty, terenowej, jak zwykł ją nazywać. Wystarczająco nabiegał się po pustkowiach Afganistanu, gdzie nie potrafiący uszanować żadnej świętości duszmani uparli się odstrzelić mu tyłek. Wystarczająco długo odgniatł swój własny zadek na twardych siedzeniach w ładowni Mi-8, by teraz nie doceniać odrobiny komfortu. A harley wygod nie zapewniał.

Jednakże widok Matyldy, roześmianej i wesołej, spowodował, że złość ulotniła się szybko. Dziadek Mróz ze wzruszeniem pociągnął nosem, poklepał się po kieszeniach w daremnym poszukiwaniu swej wielkiej kraciatej chustki. Została w garniturze, teraz musiał poprzestać na otarciu nosa owłosionym przedramieniem.

Martwił się o dziewczynę. Najpierw paskudna historia z Księżniczką, Co Dawała Na Ziarnku Grochu. Potem polityka. Dziadek znów zaklął mimo woli. To była najgorsza zaraza, gorsza nawet od oszukańczych bajeczek, które mąciły w głowach biednej diatwie. Czasem zastanawiał się, „czy jednak nie należało rozpocząć odstrzału postów zamiast wampirów.

Pokręcił głową. *Nie, to nie byłoby rozsądne*, uznał, nie po raz pierwszy zresztą, Oznaczałoby wikłanie się w politykę. Chociaż zapewne byłoby sprawiedliwe, a już co najmniej dochodowe. *Ale przynajmniej dziewczyna się otrząsnęła*, rozchmurzył się znowu Dziadek na widok rozjaśnionej twarzy Matyldy. *Wiedziałem, trzeba było po prostu czasu. I może pomogła sprawa z Piaskowym Dziadkiem.*

- Popatrz - głos dziewczyny wyrwał go z zamyślenia. - Jak ślicznie...

Rozejrzał się. Mimo najlepszych chęci nie dostrzegął nic ślicznego. Ot, resztki budowli, starej pewnie, bo pozostało coś jakby wieża z kruszącej się, czerwonej cegły, z zarysem schodów wewnątrz. Do wysokości, do jakiej mogła sięgnąć miejscowa diatwa, cegły pokrywały obsceniczne graffiti, nie pozbawione też elementów satanistycznych. Dziadek spochmurniał nieco, niezdarnie wymalowany pentagram przypominał mu o czekającym ich zadaniu.

- Letnia rezydencja biskupów płockich - powiedziała Matylda cicho. - Firleja konkretnie.

Dziadkowi nic to nazwisko nie mówiło, był pryncypialnym ateistą. W dodatku prawosławnym, nie znał się więc na biskupach, nawet płockich.

- Może w tej wieży właśnie... - w głosie dziewczyny pojawiło się rozmarzenie. - Może w tej wieży Sarbiewski na rzyci siedział i rymy w cichości pisał.

- Kto? - spytał machinalnie Dziadek Mróz, marszcząc krzaczaste siwe brwi.

- Poeta taki - wyjaśniła Matylda, spoglądając w górę, na jasnozielone liście wiązów kontrastujące z czerwienią ceglanego muru. - I miał rację, poeta powinien siedzieć i pisać, zwłaszcza jeśli jest bucem.

- A był?

- Nie wiem - odparła dziewczyna. - Ale na wszelki wypadek powinien pisać.

Wstrząsnęła się nagle, jakby w samym środku letniego dnia przeszło ją nagle zimno.

- Wracamy - mruknęła. - Nic tu po nas.

Dziadek stał jeszcze chwilę, mimo iż dziewczyna zaczęła zsuwać się po strmej skarpie. Niewiele rozumiał.

Wiedział tylko, że Matylda jak zwykle odrobiła sumiennie pracę domową. Przystudiowała mapy i przewodniki, stąd pewnie wiadomości o tym, jak mu tam, Sarbiewskim. To dobrze wróżyło.

Ale też wciąż gdzieś w głębi duszy czaiły się wątpliwości. Wciąż nie był pewien, czy dziewczyna doszła do siebie, czy skończyły się rozterki. Wprawdzie na strzelnicy z radosnym chichotem rozwaląła

całe falangi ogrodowych krasnali, a jej stara wojskowa czterdziestkapiątka grzmiała szybko niczym uzi. Ale co innego strzelnica, co innego żywy skrzat. Albo co gorsza coś bardziej człekokształtnego, na przykład kolejna księżniczka.

Dziadek splunął tylko. Sam nie miał najlepszych doświadczeń z księżniczkami. Kiedyś, oczywiście w ramach obowiązków, pocałował żabkę. I do dziś się czerwieni na wspomnienie, jak to zakłęty w płaza księżę nawymyślał mu od pedałów.

Nie było na co czekać, na dole, na zakręcie szosy zadudnił już silnik harleya na jałowym biegu. Matylda za chwilę będzie się niecierpliwić. Dziadek zaklął i ruszył w kierunku tarniny. Ale nawet kiedy musiał poświęcić całą uwagę odgarnianiu kolczastych gałęzi wciąż nie mógł się pozbyć niepokoju. To nie będzie łatwa robota. Pech chciał, że i tym razem klientką miała być kobieta.

* * *

Zaskrzypiała zardzewiała, kunsztownie wypawana ze zbrojeniowych prętów krata. Uwieszony jej zarośnięty autochton jakby nagle wytrzeźwiał pod karcącym spojrzeniem rzuconym zza potwornie grubych szkieł. Wypluł peta przylepionego do warg, usiłował wyprostować się nawet i udawać, że jest całkiem trzeźwy, a pod sklepem znalazł się jedynie po to, by kupić mleka licznej dziatwie.

Siwa, wyprostowana sztywno kobieta o włosach upiętych w schludny kok minęła go bez słowa, zaciąwszy wąskie wargi. Grdyka, na chudej szyi pijaka poruszyła się gwałtownie. Prawie bezkrwiste usta przywiodły mu na myśl szramę, jaką zostawia chłaśnięcie nożem na brzuchu nieboszczyka. Skojarzenie było jak najbardziej usprawiedliwione, on też ukończył szkołę powszechną, wprawdzie przed pół wiekiem z okładem. Ale miał okazję dobrze zapamiętać ten wyraz twarzy.

Starsza pani minęła go bez słowa. Tylko na białych policzkach wystąpiły jej rumieńce gniewu, a może to tylko nadmiar różu. Ona też miała dobrą pamięć, mówiła mu już kiedyś, że do niczego nie dojdzie. Tak z pół wieku temu z okładem.

W porównaniu ze słonecznym przedpołudniem na dworze w sklepie panował chłód i półmrok. Powarkiwała wielka chłodziarka z lodami Algida, podzwaniały wstrząsane wibracją słoiki. Pachniało świeżym pieczywem, podwiedłymi warzywami, cebulą w workach. Karmelkami i myszami. Zapach ogólnospożywczego sklepu gdzieś na głębokiej prowincji, woń dzieciństwa.

Sprzedawczyni, też już niemłoda kobieta, na widok klientki wyprostowała się, prawie dygnęła, jakby znów była małą dziewczynką.

- Dzień dobry, pani Jagodo - powiedziała cicho. Starsza pani nieodmiennie ją onieśmielała.

- A to się dopiero okaże - odparła zagadnięta sucho. Głos miała równie nieprzyjemny jak wygląd, wysoki i skrzekliwy. Sprzedawczyni skinęła tylko głową. Ukradkowym gestem usiłowała wypłoszyć ze sklepu pozostałych klientów, którzy kontemplowali w skupieniu kontenery najtańszego piwa. Wprawdzie wybór mieli niewielki, ale przy ograniczonych funduszach była to poważna decyzja.

- A ty, dziecko, co tak podrygujesz? - ostro krzyknęła pani Jagoda. - Stój prosto, nie garb się!

Sprzedawczyni aż podskoczyła w miejscu, wyprostowała się odruchowo. Klienci potykając się pospiesznie wychodzili ze sklepu. Runęła na posadzkę potracona przypadkiem zgrzewka oranżady w kolorze fluo. Któryś z zarośniętych, niedoszłych amatorów taniego browaru zaklął boleśnie, kiedy cały ciężar spadł mu na odcisk skryty w gumofilcu.

Pani Jagoda obróciła się gwałtownie jak smagnięta biczem. Błysnęły szkła okularów.

- Bodajbyś oparszywał - syknęła.

Kiedy już wytoczyli się pospiesznie za drzwi, w mrocznym wnętrzu sklepu zapanowała cisza. Woń karmelków mieszała się z zapachem ziemniaków i kiszzonej kapusty. Nawet chłodziarka ucichła.

- Daj mi, dziecko, osełkę masła - powiedziała już łagodniej starsza pani, cienka kreska jej ust wykrzywiła się nawet w lekkim uśmiechu. - Pasztecik, ten tańszy. I fajranty, czarne.

- Na zeszyt? - spytała sprzedawczyni.

- A jak myślałaś, dziecko? - uśmiechnęła się pani Jagoda. - Toć przednówek przecie.

Była wprawdzie połowa lipca, ale skoro klientka tak twierdzi... Zwłaszcza ta klientka. Sklepowa wyjęła gruby brulion, odkreśliła grubą kreską i zaczęła notować.

- I może jeszcze tych galaretek - starsza pani czasem ulegała łakomstwu. - Tak z piętnaście deko...

Wkrótce zielony specjał znalazł się w torebce. Osobliwie przypominał niektóre ingrediencje, których sama używała. Te bardziej jadowne.

- Z mężem lepiej? - spytała pani Jagoda, nieco udobruchana.

Sklepowa skinęła tylko głową.

- Lepiej - wyjąkała cicho. Bała się przyznać, że stary nawet nie tknął naparzonych ziółek, twierdząc uparcie, że śmierdzą kocia szczyną. Nie dziwota zresztą, poprzednim razem jak w tydzień po zażyciu łyknął gorzały, to omal go nie wynicowało. Trzeba przyznać, że dekokty pani Jagody były zadziwiająco skuteczne. Stary odzwyczaił się radykalnie. Szkoda, że tylko od ziółek, nawet herbaty teraz nie tykał. Tylko coś opowiadał, że do proboszcza pora pójść, załatwić sprawę tej wiedźmy, co ludziom życie zatruwa, raz na zawsze.

- A to i dobrze - schludny koczek aż się zatrząsł przy energicznym skinieniu głową. Pani Jagoda zebrała torby z lady. W drzwiach obróciła się jeszcze i wycelowała kościsty, zakrzywiony palec prosto w twarz sprzedawczyni.

- A proboszcz to niech swojego radyja pilnuje! - krzyknęła piskliwie. Zamamlała coś wąskimi wargami, zachichotała złośliwie i wyszła.

Sklepowa zamknęła brulion. Ręce jeszcze jej drżały. Odłożyła tani, plastikowy długopis, nawet nie zanotowała cen. Miejscowa wiedźma nigdy nie płaciła, i nikt nigdy się nie upominał, zbyt niebezpieczne to było. I tak już, się utarło, od lat. Chociaż trzeba było już dawno spojrzeć prawdzie w oczy, jej usługi były coraz mniej warte. A ostatnio zdawały się całkiem psu na budę.

Ale strach pozostawał strachem. Sprzedawczyni popatrzyła na bywalców, którzy chyłkiem, nie patrząc na boki wślizgiwali się do sklepu. Ten w gumofilcach, lekko kulejący po tym, jak zgrzewka spadła mu na odcisk zaczynał już się drapać. Coraz bardziej zajadłe, z coraz większym obłędem w oczach.

* * *

Słońce przygrzewało coraz mocniej. Pani Jagoda szła długim, zamaszystym krokiem, wymachiwała plastikową reklamówką. Grzechotały puszki pasztecików podlaskich.

W miarę jak odchodziła od miasteczka, jej twarz wygładzała się, łagodniały ściągnięte rysy. Usta nie były już tylko wąską zaciśniętą kreską sinawych cienkich warg. Nawet wzrok zza grubych szkielec błyskał weselej.

Odetchnęła głęboko, aż zarzęziło w przeżartych od lat machorką i tanimi papierosami płucach. Dzień był jednak piękny. Tak piękny, że wart chwili wytchnienia. Zatrzymała się, przez chwilę widać było, że bije się z myślami. Radosny nastrój w końcu zwyciężył. Skręciła z szutrowej drogi, ruszyła wesoło na przelaj przez pola, obok tartaku. Prosto tam, gdzie ściana lasu kryła za sobą niewysokie wzgórza, piaszczyste wydmy właściwie. Całkiem przypadkiem najwyższe z nich nazywano Łysą Górą. I pod taką nazwą figurowało nawet na mapach, tych dokładniejszych.

Kiedy dotarła na szczyt po kilkunastu minutach, była nieco zziębła. Oparła się o pień rachitycznej sosenki, bo też Łysa Góra wbrew swej nazwie porośnięta była takim samym młodnikiem jak wszystko dokoła. Może tylko nieco rzadszym. I od lat była miejscem spotkań. Niestety, nie tylko wiedźm na szatańskich konwentykłach, o czym świadczyły spłaszczone puszki po piwie i rozrzucone dokoła zwiedle prezerwatywy.

Ale mimo tych niedostatków sama nazwa niosła ze sobą powiew romantyzmu. Pani Jagoda prawie czuła zapach gotujących się w kotłach dekoktów, prawie słyszała pisk wrzucanych do wrzątku nietoperzy i oślizgłych ropuch. Wystarczyło przymknąć oczy, by wyobrazić sobie nagie ciała, jędrne piersi podskakujące w dzikich płasach. I jego samego, na wysokim stolcu, spoglądającego spod oka na akolitki. *Ech, Iza się w oku kręci, ileż to już lat nie miała miotły między nogami...* wspomniała. Ostatnio latanie stało się nie do pomyślenia, odkąd pułk myśliwców z Mińska Mazowieckiego upodobał sobie te okolice. Nie miała najmniejszej ochoty na zderzenie z MiGiem-29.

Ale tym razem dała się ponieść wspomnieniom, nastrojowi chwili. Nie miała wprawdzie miotły, musiała się zadowolić tym, co mogła zrobić.

Powoli wyciągnęła długą, morderczo wyglądającą szpilkę. Schludny kok rozsypał się, długie siwe włosy opadły na plecy i ramiona. Zrzuciła niecierpliwie pantofle, chichocząc jak mała dziewczynka, kiedy jej stopy z powykrzywianymi artretyzmem palcami dotknęły igliwia. Na koniec zdjęła okulary, starannie schowała je do kieszonki zakietu.

Była gotowa. Prawie.

Kiedy poczuła na uszach zimny dotyk słuchawek aż przymknęła oczy z rozkoszy. Na ślepo nacisnęła klawisz odtwarzacza mp3. Na policzkach wystąpiły czerwone plamy, kiedy rozległy się pierwsze tony organów i syntezatora. Uniosła powoli ręce. Teraz pauza, króciutka. I już można!

- *Mr. Crowley!* - zaśpiewała na całe gardło, głosem nadspodziewanie czystym, aż wibrującym w leśnym, przesyconym żywicą powietrzu. - *What went on in your head?*

Nawet nie otworzyła oczu, kiedy runęła w dół, wąską ścieżką, pełną wykrotów i zdradliwych korzeni.

- *Oh, Mr. Crowley, did you talk with the dead?* - zawtórował w słuchawkach Ozzy Osbourne.

Biegła prawie nie dotykając igliwia, pogiętych puszek i zakrętek od butelek. Jej włosy powiewały i zdawały się czarne jak skrzydło kruka. Spódnica, uniesiona wysoko, odsłaniała kształtne uda, toczone łydki migwały w rytm szybkich kroków. Stopy, wąskie i zgrabne, już bez artretycznych guzów bezbłędnie omijały wszelkie pułapki na drodze.

Frunęła nad ścieżką, z uniesionymi wysoko ramionami, w każdej dłoni trzymała niemodny pantofel.

Reklamówka z zakupami na zgięciu łokcia powiewała w górze, grzechotały puszeki pasztetów podlaskich.

Coraz szybciej, coraz dalej...

- *You fooled all the people with magic, you waited on Satan's call!*

Coraz szybciej...

- *Mr. Charming...* - odpowiedziało echo, odbite od niskich, piaszczystych pagórków.

* * *

Kiedy dochodziła do chatki, znów była nobliwą kostywną starą panną. Emerytowaną nauczycielką w schludnie upiętym koczku. Odeszły w niepamięć chwile uniesienia, ledwie ucichły ostatnie tony w słuchawkach. Pozostała prozaiczna, szara codzienność.

I wtedy właśnie ich spotkała, tuż pod własnym obejściem. Aż zacisnęła mocniej wargi, w wąską kreskę, tak była zdziwiona. Przecież tu był jej kawałek lasu, nikt tu nie powinien chodzić. A już na pewno nie tacy jak oni. Przeszedł ją zimny dreszcz, gdzieś głęboko poczęły się budzić niewygasłe nigdy żądze. I wiedziała, że nie będzie potrafiła się im oprzeć. Nie dziś.

Wyglądali tak niewinnie, niczym małe aniołeczki. Pызaty chłopak, kilkunastoletni najwyżej, o wygolonej na łyso głowie i dziewczyna. Niewiele młodsza od niego, o miłej, ujmującej buzi. Oboje w eleganckich, czyściutkich dresach i w adidasach.

Byli wyraźnie zaskoczeni, kiedy pojawiła się przed nimi tak nagle. Wcześniej zapewne przyglądali się chatce, ale obawiali się podejść. Kozioł typał wyjątkowo nieprzychylnie swoimi i tak wrednymi, żółtymi ślipkami.

Na twarz pani Jagody wypełził profesjonalny, szeroki uśmiech. Zrobiła ruch, jakby chciała pogłodzić dziewczynę po pulchnym policzku, powstrzymała się w ostatniej chwili, widząc cień lęku w jej oczach.

- Zabłądziliście, gołąbeczki? - zagruchała. I aż się sama wewnątrz wstrząsnęła. Nie kontrolowała już tego, to brało górę. Poddała się z ulgą, z ciepłą rezygnacją.

- Oj, niedobrze, las srogi dokoła, wilcy, tego... - ugryzła się w język. Ostatniego wilka, według kronik nadleśnictwa, widziano tu w latach trzydziestych, o ile oczywiście nie był to zwykły kundel. Spłoszą się, napłynęła paniczna myśl.

- Do drogi daleko - pani Jagoda, a właściwie już Baba Jaga starała się gorączkowo naprawić swą pomyłkę. Przełożyła bezradnie reklamówkę z ręki do ręki, widząc jak chłopak rzuca dziewczynie zakłopotane spojrzenie. - Zajdźcie na chwilę, tego, na pierniczki...

Jeszcze widziała wahanie. *Ale to dobre dzieciaki, posłuchają*, myślała z nadzieją. Z trudem powstrzymała się, żeby nie pomacać policzka tysego chłopca. Tłuściutki...

Istotnie, dzieciaki były dobre. Spojrzały po sobie, ale wahanie trwało krótko.

- Idziemy, Małgośka? - spytał chłopak.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. W końcu kiwnęła głową.

Pani Jagoda ruszyła pierwsza. Spieszyła się, przecież jeszcze tyle roboty. Piec trzeba rozpalić, chlebowy, sporo z tym zachodu. To nie to, co odgrzać coś w mikrofalówce. Już była spokojna, wiedziała, że dzieciaki się nie wymkną, że są pod urokiem. Pójdą za nią bez wahania.

- Coś ty, Jasiek? - usłyszała za sobą szept dziewczyny. - Popatrz, jakie paskudne babsko...

Nie dosłyszała więcej. Ale nawet się nie skrzywiła, zacięła tylko mocniej usta. *Poczekaj*, pomyślała już *niedługo*. Tuż przed drzwiami się odwróciła.

- A wy tu poczekajcie chwilę - poleciła oschle. - Muszę w piecu... tego, pierniczki przygotować.

Zniknęła w drzwiach. Dzieciaki w dresach spojrzały po sobie. Przysiadły na starej, omszałej kłodzie. Kozioł wiercił się na postronku, czochrał hałaśliwie o szczyrbaty płot.

- Kurwa, jak ten bydlak śmierdzi - parsknęła Małgosia. Jasio złożył palce w kształt pistoletu, wycelował w zwierzaka.

- Bang! - powiedział. - I leży.

Kozioł jakby rozumiał wszystko. Szarpnął postronek, zamęczał wściekle.

- Popatrz, jaki wrażliwy - zdziwił się Jasio. - I co ty na to?
- Nie podoba mi się - zdecydowanie odparła Małgosia. - Mieliśmy iść na działki. A tu... Co taka stara torba może mieć w domu?

Wydeła pogardliwie wargi.

- Zobacz, jaki tu syf... - dodała.

Chłopak rozejrzał się ze złością. Rzeczywiście, niebogato.

- A, co tam - powiedział, i w jego dłoni zmateriałizował się nagle najprawdziwszy pistolet. Przeładował go z trzaskiem. Kozioł jakby zrozumiał, zerwał postronek i pognął w las.

Jasio chwilę nasłuchiwał. Poprzez szum sosen dobiegł warkot motoru. Ale ucichł po chwili. *Zdawało mi się*, pomyślał chłopak. *Albo już przejechał.*

- No co ty? - skrzywiła się dziewczyna i wypluła gumę pod nogi. - Taki syf...

- Nie peniaj, Gośka - mruknął chłopak. - Stara rura musi mieć coś skitrane, jak żelazkiem przypieczemy, to powie... No, wyjmuj giwerę i wchodzimy...

Pyzata buzia dziewczyny rozjaśniła się.

- Kocham cię, misiu pysiu! - cmoknęła go w usta.

Drzwi wyleciały od pierwszego kopa.

* * *

Matylda naciągała kominiarkę. Znów będzie musiała myć włosy, pomyślała ze złością, spoć się jak ruda mysz. Ale Dziadek Mróz zawsze nalegał na przestrzeganie procedur. W końcu ta akcja miała się odbyć w biały dzień, a nuż ktoś zobaczy.

Rękawiczki bez palców były potrzebne. Chwył pistoletu nie będzie się ślizgał w spotniałych dłoniach. Dziewczyna wcisnęła magazynek, trzasnął odciągnięty zamek. Dziadek tymczasem mruczając coś ponuro wkładał kolejne ładunki do rury pod lufą swojego ulubionego wingmastera.

Wciąż miał wątpliwości, popatrywał ukradkiem na Matyldę. Nie mógł nic wywnioskować z jej twarzy, ukrytej pod kominiarką, ale oczy dziewczyny coś za bardzo błyszczały. I były zbyt szeroko otwarte. Widywał już takie.

Przez chwilę zdawało mu się, że znów siedzi w kołyszącym się śmigłowcu, że słyszy ryk dwóch turbin Isotowa, rezonujący w blaszanym wnętrzu i odbijający się od ścian skalnego wąwozu. Zamiast na kolbie wingmastera zaciskał dłonie na kałachu z podwieszonym pod lufą granatnikiem, i znów zastanawiał się, co będzie pierwsze. Stinger, który uderzy nagle, mimo wyrzucanych wciąż flar, czy gorąca strefa lądowania. A przed sobą miał szeroko otwarte, kwadratowe aż oczy druhów specnazowców. I wiedział, że jego wyglądają tak samo, choćby nie wiem ile już akcji miał za sobą.

Otrząsnął się ze wspomnień. Delikatnie trącił Matyldę w ramię. To nie był dobry moment, jeśli się jednak zdecyduje, to tylko ją teraz rozmiękczy. Ale postanowił spróbować.

- Możemy dziś odpuścić - powiedział. - Potraktować jako rozpoznanie.

Parsknęła tylko jak rozgniewana kotka..

- Nie - odparła krótko. - Idziemy. Im szybciej, tym lepiej.

Skinął tylko głową. Niepokój nie zniknął, ale nie było innego wyjścia, wiedział o tym.

- Wiem, o czym myślisz - dodała. - To w końcu kobieta. Wyobraził sobie, jak jej twarz pod kominiarką ściga się w złym uśmiechu. Zapewne tak było, w wykroju na usta błysnęły białe zęby.

- Kobieta, ale winna jak cholera - stwierdziła chłodno Matylda. - Jak pierdolona, nomen omen, Księżniczka. Dam sobie radę, wierz mi.

Musiał jej zaufać. Ruszył pierwszy. Mimo swej tuszy poruszał się w lesie zaskakująco zwinnie i cicho, pod czarnymi glanami nie trzasnęła nawet gałązka. Matylda podążyła za nim. *Dam sobie radę*, tłuła jej się w głowie jedna myśl. *Dam radę...*

Bo wiedziała doskonale, że nawet ostatnia, pomyślnie wykonana robota nie świadczy o niczym. Piaskowy Dziadek był wyjątkowo paskudnym indywiduum, w dodatku, jak się sam w ostatniej chwili przyznał, tajnym współpracownikiem Stasi. Wyrwali chwasta bez żadnych moralnych oporów.

Dziś mogło być dużo trudniej.

I jak się wkrótce miało okazać, rzeczywiście było.

* * *

Od razu zorientowali się, że coś jest nie tak. Jak tylko ostrożnie wyszli na polanę. Dziadek pierwszy wykonał ostrzegawczy gest, który dziewczyna od razu zrozumiała, legła płasko w trawie. Widziała, jak

Dziadek Mróz skokami pokonuje przystrzyżoną trawę, jak znika za cembrowiną studni. Dostrzegając wszystko kątem oka, bo przecież musiała go ubezpieczać. Pozałowała, że nie wzięła czegoś lepszego niż wojskowy colt. Mogli potrzebować silniejszego pokrycia ogniem.

Coś było bardzo nie tak.

Drzwi do chatki zwiślały wyłamane, ledwie trzymały się na zawiasie. A ze środka dobiegł zduszony krzyk, potem ostry odgłos uderzenia. I coś jak szloch krzywdzonej brutalnie kobiety. Matylda poczuła dreszcz biegnący po plecach. Ledwie się powstrzymała, by nie poderwać się do biegu, nie wskoczyć w ciemną czeluść wpółotwartych drzwi. Dłonie zaciśnięte na kolbie pistoletu spotniały mimo rękawiczek.

Dziadek przeżywał jeszcze gorsze chwile. Skulony za cembrowiną, dającą bardziej niż iluzoryczną osłonę, kłął pod nosem, mieszając polskie bluzgi z rosyjskimi. Trzeba mieć pecha, żeby właśnie teraz, przy tej akcji trafić na coś nieprzewidzianego. Po prostu się bał, nie o siebie. O Matyldę.

I zaklął głośnie, kiedy poczuł, jak ktoś trąca go w ramię. Stało się właśnie to, czego się obawiał. Dziewczyna nie wytrzymała nerwowo. Wbrew wszelkim zasadom, wbrew szkoleniu i wpajany nawyk opuściła stanowisko. Pogubiła się widać do końca. Odwrócił się, i zanim jeszcze spojrzął za siebie, zrozumiał z ulgą, że jednak się pomylił.

Matylda nie mogła tak śmierdzieć.

Kozioł grzebał racicą w trawie, wyglądał na mocno zaniepokojonego. I wystraszonego. Zezował żółtymi ślepiami, jakby zastanawiał się, czy tryknąć Dziadka w plecy, czy wręcz przeciwnie. Prosić o pomoc. Coś było w oczach zwierzaka, że Dziadek Mróz poczuł do niego instynktowne zaufanie. *Żeby bydlak tak jeszcze nie capił*, pomyślał tylko.

Na dany znak Matylda podczołgała się zwinnie. Dziadek z ulgą dostrzegł, że uczyniła to zgodnie z zasadami, nie poniosły jej nerwy. Przycupnęła obok niego za cembrowiną, ale jej oczy wciąż czujnie omiatały otoczenie.

- Domyślasz się już? - syknął Dziadek.

Potwierdziła szybkim ruchem głowy.

- Wiesz, jakie są konsekwencje? - pytał dalej.

Spojrzała na niego uważnie.

- Wiem - odparła. Znów nie patrzyła na niego, szkolenie wzięło górę.

- Musimy pomóc - mruknęła tylko. - Widzisz inne wyjście?

Dziadek Mróz nie widział. Są w końcu jakieś zasady. Decyzja została podjęta. Gorzej z realizacją.

Nic przecież nie wiedzieli, nie byli przygotowani. Przybyli tu, żeby stuknąć Babę Jagę, samotną, chociaż jak wieść niosła śmiertelnie niebezpieczną. Tymczasem będą się musieli zmierzyć z nie wiadomo jakim przeciwnikiem. Tylko po to, żeby uratować niedoszłą ofiarę. Bo to ona okazała się bezbronną, torturowaną kobietą, która natrafiła na jeszcze większe zło.

- Niech to szlag - mruknął Dziadek Mróz niechętnie. - Nie jest dobrze, nic nie wiemy. A on nam przecież nie powie...

Wskazał skinieniem głowy na cuchnącego zwierzaka, którego żółte ślepia błysnęły złośliwie.

- A niby dlaczego, kurwa, nie? - spytał kozioł.

* * *

- Ty do okna - szeptał Dziadek.

Spieszył się, nie mieli czasu. Szloch dochodzący z wnętrza chatki był coraz cichszy. Kiedy huknął pojedynczy strzał, wszyscy troje zmartwieli na chwilę. Ale jednak nie był przeznaczony dla pani Jagody, z ulgą usłyszeli zduszony krzyk.

Matylda kiwnęła głową.

- Ja przez drzwi. Ty wchodzisz po mnie. A ty... - Popatrzył na kozła. - Ty zostaniesz tutaj, wchodzisz ostatni, jak by co. Nie masz z czego strzelać - dodał Dziadek, widząc urażone spojrzenie.

Ruszamy!

* * *

- Ta stara wiedźma nawet żelazka w domu nie ma - pieklił się Jasio. - Ile mam czekać, aż w tym pieprzonym piecu rozpalisz?

Pani Jagoda siedziała przykrępowana do krzesła. Usta zaklejała jej samoprzylepna taśma, dzieciaki naoglądały się właściwych filmów. Jedno oko spuchło już tak, że pozostała z niego tylko wąska szparka.

Po policzku spływała mętna łza. Nie chciała patrzeć, ale wciąż widziała ścianę ozdobioną krwawym rozbryzgiem i rude, bezkształtne futerko na podłodze. Kot wiedźmy był już stary, to było jego ostatnie, dziewiąte życie.

Małgosia odłożyła pistolet. Klęczała przy otworze wielkiego, chlebowego pieca. Daremnie próbowała rozpalic ogień, gazety dymiły tylko. Żadnych szans na porządne rozgrzanie pogrzebacza.

- A co ty, kurwa, sobie myślisz?! - rozdarła się. - Mówiłam, syf tylko!

- Zamknij się, głupia cipo - odpalił Jasio. Też był zdenerwowany, docierało do niego, że istotnie nic tu nie ma, poza syfem. Nawet porządnego odtwarzacza wideo nie znalazł. I nagle zamarł. Nie czekał już dłużej, skoczył do wyjścia.

Od razu wiedział, co oznacza maleńka rubinowa plamka na czole dziewczyny.

To Matylda spieszyła sprawę. Za wcześniej nacisnęła kciukiem włącznik laserowego wskaźnika celu. Dziadek nie zdążył zająć stanowiska.

Nie dała mu czasu.

Ale też lubiła koty. I poczuła jakąś nić sympatii względem tej starej, bezradnej, przywiązanej do krzesła kobiety.

Sympatię i wyrzuty sumienia. Bo przecież jeszcze niedawno sama chciała ją zabić. Teraz miała już pewność, że to nie koniec, że ich losy spletną się w jakiś sposób. Nie wiedziała tylko jeszcze, w jaki.

Nieważne. Palec delikatnie pokonał opór spustu, raz i drugi. Nie mogła już czekać, była znów chłodną profesjonalistką. Nie zamknęła oczu jak pierwsza lepsza amatorka, kiedy głowa dziewczyny rozprysnęła się w obłok krwi i odłamków kości. Matylda nie czuła nic. To ta smarkata była prawdziwym potworem.

Teraz mogła mieć nadzieję, że nie spieszyła sprawy bardziej, niż jej się wydawało. Czekala na basowy huk wingmastera.

Dziadek rzeczywiście się spóźnił. Jasio zdążył wyskoczyć z chatki, nawet strzelił w biegu raz i drugi. Chybił niewiele, Dziadek usłyszał trzask mijających go blisko pocisków, kiedy podrzucał strzelbę.

Wiązka grubych śrucin trafiła Jasia, kiedy przebiegał koło studni. Prawie jednocześnie z rogami kozła. Ciało w podziurawionym dresie przewaliło się przez cembrowinę wśród fruujących ścinków sierści. Wiązka śrutu musiała musnąć capa po grzbiecie.

Zanim uciekł ostatni plusk, zwierze popatrzyło wściekle na Dziadka Mroza.

- Mogłeś bardziej uważać - zameczało z wyrzutem.

Dziadek przeładował strzelbę. Nie chciał się wdawać w dyskusję.

* * *

Matylda wolno szła leśną ścieżką. Zapadał już zmierzch, po upalnym dniu było przyjemnie i rześko.

Potrzebowała tego spaceru. A poza tym nie mogła zostać w chacie. Zastanawiała się, kiedy będzie mogła wrócić.

Coś dziś zyskała, i coś straciła, jak to zwykle w życiu bywa. Kiedy uchwyciła to spojrzenie Dziadka, który przecinał więzy, delikatnie zdejmował przyklejony do twarzy knebel, nie zdziwiła się nawet. Zawsze był delikatny, nawet w robocie.

Potem ujrzała oczy Baby Jagi. Dostrzegła też, że Dziadkowi nagle zadrżały dłonie.

I w końcu zrozumiała. Bo zobaczyła ją taką, jaką on ją widział. Piękną, czarnowłosą dziewczynę. Młodsza od niej samej.

Uśmiechnęła się tylko i wyszła na spacer. Wciąż pamiętała zakłopotane i przepaszające spojrzenie Dziadka, radość w oczach pani Jagody. Po prostu Jagody.

Kozioł podszedł bliżej, nawet jakby mniej śmierdział. Poczochrała go po karku.

- Tylko sobie za wiele nie wyobrażaj! - powiedziała.

I roześmiała się na widok rozczarowania w żółtych, kaprawych ślepiach.

Tomasz Pacyński